NOWE FUNDAMENTY

Czasem trzeba pozwolić,
by wszystko runęło,
żeby otworzyć okna
na nowe życie

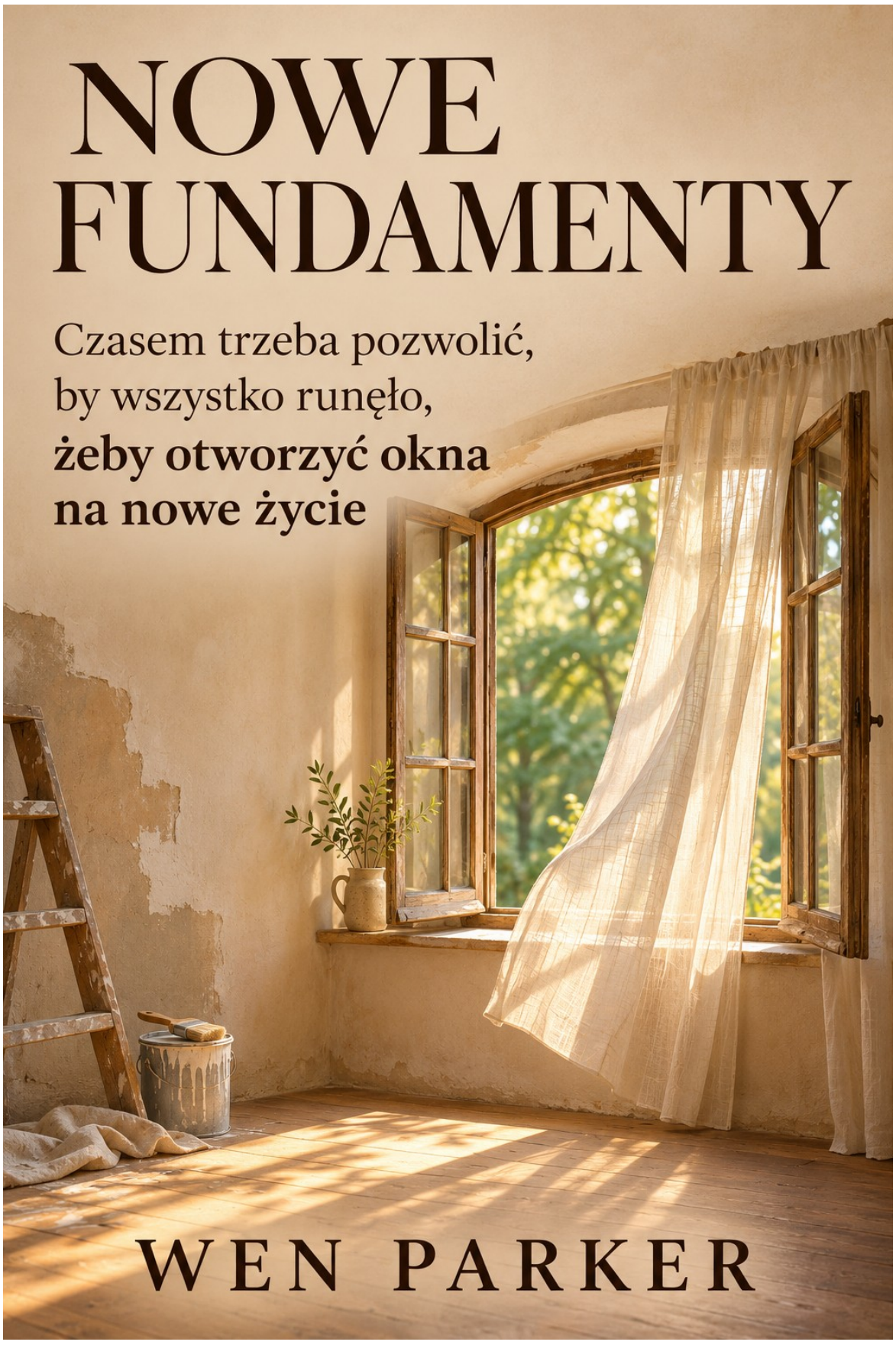

WEN PARKER

Nowe Fundamenty

Wen Parker · Darmowy fragment

Rozdział 1

Chciałam tylko zrobić mu niespodziankę na dziewiątą rocznicę ślubu.
Tylko tyle. Żadnych wielkich fajerwerków, żadnej rezerwacji w drogiej restauracji z miesiącem wyprzedzenia, bo oboje od dawna tonęliśmy w terminach, projektach i nieprzespanych nocach. Po prostu chciałam przypomnieć nam obojgu, dlaczego dziewięć lat temu stanęliśmy przed ołtarzem i obiecaliśmy sobie wszystko.

Jest czwartek wieczór. Do naszej rocznicy, która wypada w niedzielę, zostały dokładnie trzy dni.

W naszym domu pod Warszawą panuje ten szczególny rodzaj wieczornej ciszy, który pojawia się dopiero wtedy, gdy sześcioletnia Hania w końcu zaśnie. Przez ostatnie pół godziny siedziałam na brzegu jej łóżka, czytając po raz setny tę samą książeczkę o małym niedźwiadku, który bał się ciemności, i gładząc jej ciepłe, jasne włosy, aż jej oddech stał się głęboki i równy. Kiedy wstałam, kolana strzeliły mi cicho ze zmęczenia, a plecy zapulsowały tępym bólem – znajomym towarzyszem każdego architekta wnętrz, który pół dnia spędza na budowie w przeciągach, a resztę przy biurku nad rzutami technicznymi.

Adam wyjechał rano na delegację do Gdańska. Kiedy o szóstej trzydzieści stał w przedpokoju z walizką na kółkach, wyglądał dokładnie tak jak zawsze – świeży, pachnący zimowym drzewem i cytrusami, w idealnie wyprasowanej błękitnej koszuli, którą wieczorem powiesiłam mu na drzwiach szafy. Pocałował mnie w czoło, narzekając z lekkim uśmiechem, że czeka go nudna, dwudniowa konferencja o odnawialnych źródłach energii i kolacja z kontrahentami, na której będzie musiał udawać, że interesują go marże dystrybutorów paneli.

– Wrócę w sobotę po południu, kochanie – powiedział, ściskając moje ramię. – W niedzielę rano wyłączamy telefony. Cały dzień jest nasz. Babcia Halina już potwierdziła, że zabierze Hanię na noc.

Uśmiechnęłam się wtedy z wdzięcznością. Czułam ukłucie winy, bo wiedziałam, że w ostatnich miesiącach naprawdę było nas mało. Pracowałam po dwanaście godzin dziennie, żeby utrzymać swoją małą pracownię projektową i dokończyć spłatę kredytu za wykończenie naszego domu. Adam też miał coraz więcej wyjazdów. Mijaliśmy się w kuchni przy porannej kawie, wymienialiśmy szybkie wiadomości o tym, kto odbierze Hanię z przedszkola, a wieczorami padaliśmy na łóżko zbyt wykończeni, by rozmawiać o czymkolwiek innym niż rachunki i zakupy.

Pomyślałam, że ta niedzielna rocznica będzie naszym przystankiem. Naszym małym resetem.

Siedzę teraz na miękkim dywanie w salonie, oparta plecami o kanapę. Na niskim stoliku kawowym stygnie kubek mięty, a obok niego stoi otwarte tekturowe pudło, które dziesięć

minut temu zniosłam ze strychu. Jako architektka mam obsesję na punkcie porządku i katalogowania przestrzeni, ale ten jeden karton zawsze czekał na „lepszą chwilę”. Leżały w nim stare ładowarki, zapasowe kable HDMI, zeszłoroczne katalogi płytek i dwa stare dyski przenośne Adama, których nie używał, odkąd dwa lata temu firma kupiła mu nowy laptop z dostępem do chmury.

Wyciągam ze środka płaski, srebrny dysk twardy. Jest lekko porysowany na rogach. Podłączam go cienkim kablem do swojego laptopa, który trzymam na kolanach.

Dioda na obudowie miga przez chwilę na niebiesko, a po kilku sekundach na ekranie pojawia się okno z folderami.

Praca 2021.
Faktury – stare.
Wakacje.
Zdjęcia – telefon.

Uśmiecham się pod nosem. Jestem pewna, że znajdę tu nasze stare zdjęcia ze studiów, z podróży poślubnej na Sycylii i z pierwszego roku życia Hani – te wszystkie ujęcia, które zginęły w czeluściach starych telefonów, zanim zaczęliśmy wszystko archiwizować. Chcę z nich ułożyć cyfrowy album, zamówić w piątek rano ekspresowy druk w zaprzyjaźnionej drukarni i wręczyć mu w niedzielę przy śniadaniu.

Klikam w folder Zdjęcia – telefon.
W środku są dziesiątki podfolderów uporządkowanych według lat. Otwieram ten z naszym wyjazdem do Włoch. Na ekranie pojawia się Adam siedzący na murku w Taorminie, z rozczochranymi włosami, bez siwych nitek na skroniach, obejmujący mnie ramieniem. Oboje śmiejemy się prosto do obiektywu. Moja skóra jest opalona, oczy błyszczą, nie ma pod nimi tych fioletowych cieni, które dziś rano próbowałam zamaskować dwiema warstwami korektora.

Przez chwilę patrzę na to zdjęcie i czuję dziwny, ciepły ucisk w gardle. Tęsknię za tą dziewczyną ze zdjęcia. Tęsknię za nami z tamtych lat, kiedy wszystko było proste, a największym problemem było to, czy wystarczy nam pieniędzy na kolację w małej trattorii nad morzem.

Zaznaczam kilkanaście zdjęć i przenoszę je do nowego folderu na swoim pulpicie, który nazywam *Rocznica 9*.

Przewijam listę w poszukiwaniu zdjęć zrobionych w szpitalu tuż po narodzinach Hani. Mój wzrok prześlizguje się po nazwach katalogów, aż na samym dole okna zauważam coś dziwnego.

Nazwę jednego z folderów zastępuje pojedyncza kropka.
Zerkam na kolumnę z datą modyfikacji po prawej stronie.
24.09.2025.

Marszczę brwi. Trzy tygodnie temu.
Przecież Adam mówił mi w zeszłym miesiącu, kiedy sprzątałam w jego gabinecie, że ten dysk nie działa i od dwóch lat leży na strychu jako złom. Po co miałby podpinać go do komputera trzy tygodnie temu i tworzyć folder ukryty pod kropką?

Pierwsza myśl jest zupełnie niewinna. Pewnie szykuje dla mnie prezent na rocznicę. Może też wpadł na pomysł ze zdjęciami albo zgrał projekt niespodzianki, którą planuje na weekend. Uśmiecham się lekko, czując nagły przypływ czułości, i klikam dwa razy w kropkę, gotowa zamknąć okno, jeśli zobaczę tam jakieś zamówienie czy bilet lotniczy.

W środku nie ma biletów lotniczych.
Są cztery podfoldery opisane wyłącznie datami.
12.08.
24.08.
04.09.
19.09.

Czuję pierwsze, ciche ukłucie niepokoju. Takie samo jak wtedy, gdy wchodzisz na budowę i widzisz cienką rysę biegnącą w poprzek świeżo wylanej ściany nośnej. Jeszcze nie wiesz, co oznacza, ale podświadomie czujesz, że coś jest nie tak z konstrukcją.

Klikam w folder *12.08*.

W środku jest osiem plików graficznych. Pierwszy otwiera się na pełnym ekranie.

Patrzę na zdjęcie i mój mózg odmawia połączenia tego, co widzą oczy, z rzeczywistością.
To sypialnia. Ale nie nasza. Nasza ma jasne, piaskowe ściany i dębowe zagłowie, które sama projektowałam. Ta sypialnia ma ściany pomalowane na głęboki, matowy granat. Za ogromnym oknem sięgającym od podłogi do sufitu rozciąga się nocna panorama Warszawy – rozpoznaję w oddali oświetloną iglicę Pałacu Kultury i wieżowce w centrum.

Na szerokim łóżku, przykryta tylko białym, pomiętym prześcieradłem, leży kobieta. Jest odwrócona tyłem do aparatu. Ma długie, ciemne włosy rozsypane na poduszce i smukłe, opalone plecy.

W salonie zapada cisza tak gęsta, że czuję pulsowanie w skroniach.
To jakaś pomyłka. Adam musiał kupić używany dysk albo kolega z pracy zgrał mu jakieś głupoty na imprezie firmowej. Mój mąż ma trzydzieści osiem lat. Dziś rano całował mnie w czoło i pytał, czy nie zapomniałam kupić syropu na kaszel dla Hani. Mój mąż nie sypia z obcymi kobietami w luksusowych apartamentach w centrum miasta.

Moja dłoń na gładziku laptopa zaczyna lekko drżeć. Klikam strzałkę w prawo, żeby przejść do następnego zdjęcia i udowodnić sobie, że to głupi żart.

Na ekranie pojawia się drugie ujęcie.

Tym razem kobieta siedzi na brzegu łóżka, owinięta prześcieradłem pod pachami. Odwraca głowę w stronę obiektywu i śmieje się szeroko. W prawej dłoni trzyma kieliszek białego wina. Na jej nagim ramieniu spoczywa męska dłoń.

Znam tę dłoń. Znam kształt tych palców, drobne piegi na wierzchu dłoni i srebrny zegarek z granatową tarczą – ten sam, który kupiłam Adamowi na trzydzieste piąte urodziny, odkładając na niego przez pół roku.

Ale o wiele lepiej znam twarz kobiety, która śmieje się do obiektywu.

Powietrze ucieka mi z płuc tak gwałtownie, jakby ktoś uderzył mnie pięścią prosto w splot słoneczny. Zginam się wpół na dywanie, opierając wolną rękę o podłogę, bo mam wrażenie, że salon zaczyna wirować.

Julia.

Julia Majewska. Moja najlepsza przyjaciółka od czternastu lat. Kobieta, z którą na pierwszym roku studiów dzieliłam maleńki pokój w akademiku i jadłam makaron z sosem pomidorowym z jednego garnka. Kobieta, która była moją świadkową na ślubie, płakała ze wzruszenia, gdy składałam przysięgę, i którą Hania nazywa „ciocią Julą".

W zeszłą niedzielę siedziała przy tym stole w jadalni. Jadła moją szarlotkę, gładziła mnie po ramieniu i pytała z troską w głosie, czy nie powinnam trochę zwolnić w pracy, bo wyglądam na przemęczoną.

Ekran laptopa rozmazuje mi się przed oczami. W gardle rośnie mi twarda, paląca gula. Nie mogę złapać tchu.

Otwieram następny folder. 04.09.
Czwarty września. Znam tę datę na pamięć.
To był pierwszy piątek nowego roku szkolnego. Hania poszła wtedy do zerówki. Rano bardzo płakała w szatni, kurczowo trzymając się mojej spódnicy, a ja wróciłam do samochodu z rozdartym sercem. Adam napisał mi wtedy w południe, że musi zostać w biurze do późnego wieczora, bo zamyka wielki kontrakt na farmy fotowoltaiczne. Julia zadzwoniła do mnie o osiemnastej. Powiedziała: Natka, jestem w okolicy, wpadnę z pizzą i winem, żebyś nie musiała gotować po takim ciężkim dniu.

Siedziała ze mną na tej samej kanapie, o którą teraz opieram plecy. Pocieszała mnie, kiedy martwiłam się o naszą córkę. A zaledwie trzy godziny wcześniej była w łóżku z moim mężem.

W folderze 04.09 jest plik wideo. Trwa dwanaście sekund.
Mój palec zawisa nad przyciskiem. Część mnie krzyczy, żebym zamknęła pokrywę laptopa, wyrzuciła ten przeklęty dysk do kominka i udawała, że nigdy niczego nie widziałam. Żebym wróciła do swojego bezpiecznego, przewidywalnego życia, w którym w niedzielę zjemy rocznicowe śniadanie, a w poniedziałek odprowadzimy Hanię do przedszkola.

Ale druga część mnie już wie, że odwrotu nie ma. Konstrukcja została naruszona.

Naciskam przycisk odtwarzania.

Z głośników laptopa wydobywa się śmiech Adama. Ten niski, ciepły, gardłowy śmiech, którego w naszym domu nie słyszałam od miesięcy.

– *Gdzie jesteśmy, pani agent?* – pyta głos mojego męża zza kadru.
Obraz przesuwa się w prawo. Julia obraca się w stronę kamery, opierając się o framugę okna. Ma na sobie wyłącznie jego błękitną koszulę – luźną, z podwiniętymi rękawami, sięgającą jej do połowy ud. Tę samą koszulę, którą wczoraj wieczorem powiesiłam mu na drzwiach szafy.
– *W apartamencie numer osiemdziesiąt cztery na Mokotowie, który jutro o dziesiątej pokazuję klientom VIP* – mruczy Julia, odrzucając ciemne włosy na plecy i uśmiechając się zmysłowo prosto do niego. – *Ale dziś w nocy jest tylko nasz.*

Nagranie urywa się z cichym kliknięciem.

Zamykam pokrywę laptopa tak gwałtownie, że aż trzaskają zawiasy. Odsuwam komputer od siebie, jakbym dotknęła rozżarzonego do czerwoności metalu, i zrywam się na równe nogi.

Fala mdłości uderza we mnie bez ostrzeżenia. Zatykam usta dłonią i biegnę przez przedpokój do łazienki na parterze. Zatrzaskuję drzwi, przekręcam zamek i padam na kolana przy muszli klozetowej.

Wymiotuję gwałtownie, raz za razem, aż w żołądku nie zostaje nic poza palącą żółcią i smakiem miętowej herbaty. Z moich oczu płyną gorące, piekące łzy, a całe ciało dygocze w niekontrolowanym szoku. Opieram czoło o chłodną krawędź umywalki, próbując zmusić płuca do nabrania powietrza. W głowie huczy mi jeden, powtarzający się w kółko krzyk, który dławię w sobie z całych sił, boję się bowiem, że zbudzę śpiącą na piętrze Hanię.

Jak mogliście?
Jak mogliście mi to zrobić?

Siedzę na zimnych kafelkach łazienki przez dziesięć, może piętnaście minut. Słyszę ciche tykanie zegara na korytarzu i miarowy szum zmywarki w kuchni. Zwykłe dźwięki zwykłego domu, które nagle brzmią jak kpina.

Powoli podnoszę się z podłogi. Podchodzę do lustra nad umywalką i odkręcam zimną wodę. Ochlapuję twarz raz, drugi, trzeci. Patrzę na swoje odbicie w jarzeniowym świetle. Jestem blada jak kreda, pod oczami mam rozmazany tusz, a moje brązowe włosy wymknęły się z gumki i opadają bezładnie na ramiona. Wyglądam jak wrak. Wyglądam dokładnie tak, jak widziała mnie Julia, kiedy z wyższością pytała mnie w niedzielę, czy nie jestem przemęczona.

Nagle w mojej głowie zaczynają składać się w całość wszystkie drobne elementy z ostatnich pięciu miesięcy, które wcześniej brałam za przypadek albo troskę.

Julia pytająca w każdy poniedziałek o mój grafik nadzorów budowlanych pod miastem.
– *Kiedy jedziesz do tej rezydencji pod Konstancinem? We wtorek? O, to świetnie, wpadnę po południu zabrać Hanię na lody, żebyś nie musiała się spieszyć.*
Ona nie chciała mi pomóc. Ona sprawdzała, kiedy droga będzie wolna. A luksusowe, puste apartamenty z oferty jej agencji nieruchomości służyły im za bezpłatny, dyskretny hotel.

Adam wracający po północy z „kolacji z trudnym klientem”, biorący natychmiast prysznic przed wejściem do naszej sypialni. Adam, który od czterech miesięcy nie zainicjował ze mną

zbliżenia, tłumacząc się stresem w pracy i zmęczeniem, podczas gdy w tym samym czasie nagrywał moją przyjaciółkę w swojej koszuli.

Wycieram twarz ręcznikiem. Moje dłonie wciąż się trzęsą, ale coś w środku zaczyna powoli zamarzać. Miejsce rozpaczy zajmuje zimny, ostry jak brzytwa lód.

Wracam do salonu.

Na stoliku kawowym mój telefon rozświetla się cicho i wibruje na drewnianym blacie. Patrzę na ekran.
Wiadomość od Adama.

Adam: Dotarłem do hotelu w Gdańsku. Straszna nuda na tej kolacji, wolę być z wami. Śpij dobrze, kochanie. Kocham cię.

Ekran znów błyska. Wiadomość na komunikatorze. Od Julii.

Julia: Hej Natka, jak tam po całym dniu? Wpadnę jutro po pracy na kawę i plotki? Stęskniłam się!

Patrzę na oba powiadomienia wyświetlające się jedno pod drugim.
Idealna synchronizacja. Idealne, bezczelne kłamstwo. Chcą wiedzieć, czy wszystko w domu jest pod kontrolą. Julia chce przyjść jutro, spojrzeć mi prosto w oczy, napić się ze mną herbaty i upewnić się, że naiwna, zmęczona Natalia niczego nie podejrzewa przed swoją niedzielną rocznicą ślubu.

Przez długą chwilę stoję pośrodku salonu, czując, jak moje serce bije powoli i ciężko. Chciałabym krzyczeć. Chciałabym zadzwonić do niego teraz i wykrzyczeć mu w słuchawkę, że jest tchórzem i kłamcą. Chciałabym wysłać Julii te zdjęcia i patrzeć, jak dławi się własnym jadem.

Ale jeśli to zrobię dzisiaj – przegram.
Nie mam jeszcze niczego poza jednym dyskiem twardym, który Adam może w każdej chwili zniszczyć lub sformatować. Nie mam zabezpieczonych oszczędności. Nie mam planu, co powiedzieć naszej sześcioletniej córce. Jeśli wybuchnę teraz, Adam zrobi ze mnie histeryczkę, ukryje pieniądze, a Julia zamknie usta i wyczyści wszystkie ślady.

Jestem architektką. Całe życie zawodowe spędzam na projektowaniu przestrzeni. Wiem, że kiedy w budynku pojawia się pęknięcie, nie biega się po pokojach z krzykiem. Najpierw sprawdza się fundamenty, zabezpiecza konstrukcję nośną i dopiero wtedy decyduje, co trzeba zburzyć.

Podchodzę do kanapy. Siadam i otwieram pokrywę laptopa.
Moje palce wciąż lekko drżą, gdy wyjmuję z bocznej kieszeni torby własny, szyfrowany pendrive i wpinam go do portu USB. Kopiuję cały ukryty folder spod kropki – każde zdjęcie, każde nagranie, każdą datę – a następnie wrzucam pliki dodatkowo na swój prywatny, zabezpieczony hasłem dysk w chmurze.

Kiedy pasek postępu dochodzi do stu procent, odłączam stary dysk Adama i odkładam go dokładnie na dno kartonu, przykrywając tymi samymi kablami, pod którymi leżał.

Sięgam po telefon. Nabieram powietrza i przez chwilę patrzę na ekran, zanim zacznę pisać.

Najpierw odpisuję Adamowi.

Ja: Też cię kocham. Udanego szkolenia, uważaj na siebie.

Potem otwieram okno rozmowy z Julią. Przez sekundę wpatruję się w jej uśmiechnięte zdjęcie profilowe, czując, jak ból zamienia się w zimną, bezlitosną determinację.

Ja: Jasne, wpadnij jutro o 18.00. Zrobię twoją ulubioną herbatę. Musimy koniecznie pogadać.

Odkładam telefon na stolik.
Do niedzielnej rocznicy zostały trzy dni. Do jutra o osiemnastej – niecała doba.
Zastanawiam się, czy jutro zdołam podać Julii tę herbatę, kiedy już usiądzie naprzeciwko mnie.